

Egzamin z e-lekcji

Antoni Antoszek

Jestem licealistą, który e-learningu doświadczył na własnej skórze. I wraz ze swoimi rówieśnikami uważam, że najwyższa pora opowiedzieć o tym własnymi słowami.

W sprawach, które nas dotyczą, my, uczniowie, mamy zwykle najmniej do powiedzenia.

Tak było w 2019 roku, gdy na mocy ostatniej reformy edukacji w rekrutacji do szkół ponadgimnazjalnych wziął udział podwójny rocznik – absolwenci szkół podstawowych oraz uczniowie ostatniej klasy likwidowanych gimnazjów. W otwarciu dialogu nie pomogły protesty, dziesiątki artykułów, ani próby negocjacji z autorami reformy czy pracownikami oświaty. Gdy do lubelskiej kuratorki, Teresy Misiuk, zgłosiła się grupa przyszłych licealistów, aby zaprotestować przeciwko nieproporcjonalnie wysokim (w porównaniu z poprzednimi latami) progom dostania się do wymarzonych szkół, usłyszeli tylko, że „nie wszystkie marzenia się spełniają”.

Podobnie było wiosną tego roku, gdy w momencie wybuchu epidemii koronawirusa polska edukacja przeszła w tryb zdalnego nauczania. Nietypowa sytuacja wymagała nietypowych środków, niemniej w dyskusji o e-learningu uczniowie zostali niemal całkowicie pominięci. W mediach związanych z opozycją uczniów pokazywano jako ofiary zdalnej nauki. W mediach prorządowych przewijały się z kolei zdjęcia uśmiechniętych nastolatków pilnie pracujących przed ekranami komputerów. Żadna strona nie oddała jednak tak naprawdę głosu tym, których zdalna edukacja dotyczy bezpośrednio. W zamian za to sytuacja uczniów była nieraz instrumentalnie wykorzystywana, przede wszystkim w politycznych przepychankach.

Jestem licealistą, który e-learningu doświadczył na własnej skórze. I wraz ze swoimi rówieśnikami uważam, że najwyższa pora zmienić proporcje w tej debacie.

*

11 marca, 9:40, trzecia godzina lekcyjna. Po dwóch lekcjach matematyki mam okienko. Przeglądam notatki z polskiego i scrolluję Facebooka. O 9:44 wyskakuje mi na ekranie telefonu powiadomienie – wiadomość od dyrekcji w elektronicznym dzienniku. Jest długa, więc czytam jedynie fragment: „podjąłem decyzję o zawieszeniu zajęć od godz. 10.00 11 marca 2020 r. do dnia 13 marca 2020 r. Mam nadzieję, że do tego czasu będziemy mieli na tyle jasną sytuację, aby móc podjąć dalsze kroki. Proszę także na bieżąco śledzić moje komunikaty”.

Dopijam kawę i kieruję się w stronę szatni. Mam wrażenie, że drzwi klas otwierają się dokładnie w chwili, gdy je mijam. Dołączają do mnie inni uczniowie. Utrzymujemy dystans.

„Osoby chore, mające gorączkę, kaszel, trudności w oddychaniu powinny zasięgnąć porady lekarza podstawowej opieki zdrowotnej (zalecany kontakt telefoniczny), lub zgłosić się bezpośrednio do oddziału chorób zakaźnych”.

Wcześniej planowaliśmy wspólne wyjścia i imprezy. Teraz udajemy, że zapomnieliśmy o tych deklaracjach. Zmierzamy w ciszy do domów. „Cześć”, „do zobaczenia”, „widzimy się pewnie za kilka dni”, „oj, nic nie wiadomo”.

*

Początki podobnie opisuje Wojtek, uczeń pierwszej klasy liceum o profilu biologiczno-chemicznym: – Zostaliśmy zwolnieni ze szkoły 11 marca. U nas nauczanie zdalne zaczęło się już po tygodniu od zamknięcia szkoły. Nauczyciele wysyłali nam najpierw jakieś załączki lekcji na

klasowego maila. Nie wiedzieliśmy jeszcze zupełnie, jak to będzie wyglądać. Nauczyciele też działali raczej instynktownie.

– Wszyscy byli kompletnie zdezorientowani – opowiada o swoich doświadczeniach Alicja z drugiej klasy liceum. – Nauczyciele na początku nawet nie próbowali wysyłać nam materiałów. Niedługo później na własną rękę musieli szukać platform do komunikacji. Szkoła miała te platformy zapewnić, ale ostatecznie nie działały one nawet po miesiącu.

Weronika z klasy humanistycznej zwraca jednak uwagę na błyskawiczną i godną podziwu mobilizację nauczycieli, których do e-learningu nikt nie przygotował. – Byłam bardzo zaskoczona, że nauczyciele starszej daty, którzy zwykle ledwo dawali radę włączyć magnetofon, byli w stanie poprowadzić zdalnie lekcje. Nasza pani od angielskiego ma już swoje lata, a mimo to prowadziła zajęcia przez kamerkę internetową na platformie e-learningowej Microsoft Teams. Z kolei nasz matematyk powinien dostać jakiś medal za to, jak zorganizował lekcje. Zakupił specjalnie tablet graficzny, żeby rozwiązywać zadania razem z nami. Robił to w stylu Matemaksa [autora internetowych poradników matematycznych i opracowań zadań – przyp. AA]. Można było zamówić u niego rozwiązanie kłopotliwego zadania. Od razu zrobił też zajęcia na Zoomie [komunikatorze wideo – przyp. red.], bez szukania wymówek.

*

8:50 – pobudka. Za dziesięć minut rozpoczynam pierwszą lekcję. Mogę wziąć telefon i uczestniczyć w niej z łóżka. I tak każdy uczeń ma wyłączoną kamerę.

9:00-9:30 – biologia. Jedyną osobą z włączonym obrazem jest nauczycielka, która objaśnia nam właściwości cholesterolu. W czasie takiej lekcji mogę siedzieć przy biurku i notować albo leżeć w łóżku i tylko słuchać. Mogę też po prostu zgłosić obecność podczas sprawdzania listy, a potem odejść od lekcji i zająć się innymi sprawami. Nauczyciel tego nie skontroluje.

9:30-9:40 – przerwa; chyba, że nauczycielka przedłuży lekcję. Jeśli nie, można wreszcie wstać, zjeść śniadanie i zrobić kawę.

9:40 – druga lekcja, polski. Jeszcze dwie i koniec.

Tak wyglądało codzienne nauczanie zdalne w wielu szkołach. Jak wynika z moich rozmów z uczniami, w wielu przypadkach lekcje skrócono do trzydziestu minut. – Oczywiście, nie wszyscy się tego trzymają – podkreśla Wojtek. – Średnio mamy dziennie około dwóch, trzech lekcji, ale zdarzają się takie dni, kiedy nie mamy ani jednej.

To jednak rzeczywistość tylko niektórych szkół. Zosia, uczennica liceum plasującego się w pierwszej dwudziestce Rankingu Perspektyw, opisuje zupełnie inne okoliczności: – Kiedy było wiadomo, że zostaniemy w domu na długo, dyrektor zarządził, że mają się odbywać wszystkie planowe lekcje. Zajęcia i przerwy zostały co prawda skrócone, ale nie tracimy na nich czasu, na przykład nie sprawdzamy listy obecności.

– Czyli WF i EDB [edukację dla bezpieczeństwa – przyp. red.] też macie online?

– Wszystko.

– To jak wygląda WF? – pytam.

– To zależy od nauczyciela – tłumaczy Zosia. – Zazwyczaj wuefiści realizują zajęcia z rozwoju psychofizycznego, czyli na przykład tłumaczą, jak radzić sobie z trudnymi emocjami. Ewentualnie dostajemy rozpiskę ćwiczeń do wykonania.

Im więcej rozmawiam z uczniami z różnych szkół i miejscowości, tym bardziej mam wrażenie, że e-learning tylko pogłębił różnice w jakości edukacji. Sposób przeprowadzenia zdalnego nauczania pokazał całe spektrum skrajnych podejść – od realizowania absolutnego minimum do przesadnego założenia całkowitego maksimum. W niektórych przypadkach nie zwracano nawet uwagi na permanentną nieobecność części uczniów (choć w teorii jest to sprzeczne z rządowymi wytycznymi). Według danych z czerwca w samej Warszawie wraz z rozpoczęciem e-learningu kontakt urwał się z 343 uczniami, najczęściej już wcześniej mającymi problemy z nauką lub pozbawionymi odpowiedniego sprzętu komputerowego.

W jeszcze innych szkołach zajęcia odbywały się wybiórczo: – E-lekcje mamy tylko z trzech przedmiotów – żali się Adrian z niewielkiego liceum w małej miejscowości, uczeń klasy o profilu matematyczno-fizyczno-informatycznym. – Nic na nich nie mówimy, tylko słuchamy. Z pozostałych przedmiotów dostajemy jedynie zadania.

– Te trzy lekcje online to z przedmiotów rozszerzonych, prawda?

– Właśnie nie z rozszerzeń, tylko z polskiego, wosu i angielskiego. I to się w ogóle nie sprawdza. Dużo osób nie rozumie zadań z matmy i fizyki, a nauczyciele nam ich nie tłumaczą. W szkole mamy bezpośredni kontakt, mogę dopytać jeśli czegoś nie rozumiem, a teraz nie ma takiej opcji. Sprawdzianów też za dużo nam nie robią.

– To chyba nie wymaga się od was wiele podczas tego e-nauczania?

– Niby tak, ale największy problem jest z tymi wysyłanymi zadaniami. To jest strasznie dużo materiału. Jak mamy e-lekcje z polskiego, to dostajemy mnóstwo pracy domowej, więcej niż w szkole. A z kolei z rozszerzeń dostajemy mniej zadań niż zwykle.

– Nie próbowaliście czegoś z tym zrobić? Moglibyście porozmawiać z nauczycielem lub pójść do dyrekcji.

– Rozmawialiśmy z wychowawczynią i powiedziała, że spróbuje rozwiązać te problemy, ale na razie [do połowy maja – przyp. AA] nie otrzymaliśmy żadnej pomocy.

*

– Nie jestem entuzjastką obecnego rządu, ale uważam że akurat w tej sytuacji politycy nie mogli zbyt wiele zrobić – stwierdza Weronika z klasy humanistycznej. – Nasz system edukacji jest po prostu beznadziejny od dawna... Przecież połowa zajęć już lata temu mogła odbywać się online. Tymczasem niektórzy nauczyciele nie wiedzą nawet, jak działa internetowy dziennik. Ci starszej daty nie przechodzą na bieżąco żadnych kursów, które uczyłyby ich nowych metod. To są problemy systemowe i nie da się ich pozbyć od ręki w sytuacji kryzysu.

Czy na pewno nie dało się nic zrobić? Według analizy *Problem wykluczenia cyfrowego w edukacji zdalnej*, „w Polsce brakuje co najmniej miliona komputerów lub tabletów, gdyby chcieć budować edukację zdalną opartą na tych technologiach, w której uczestniczy każdy uczeń”. Konieczność współdzielenia sprzętu niezbędnego do odbywania lekcji dotyczy aż jednej czwartej uczniów, czyli około miliona osób. Do tego dochodzi problem z dostępnością szerokopasmowego internetu. Nic dziwnego, że w momencie nagłego wdrożenia e-nauczania w wielu polskich miastach przeprowadzano zbiórki sprzętu elektronicznego dla dzieci i młodzieży, a Związek Nauczycielstwa

Polskiego apelował do premiera o wprowadzenie bezpłatnego łącza dla pracujących zdalnie nauczycieli i uczniów. Niestety, bez rezultatu.

Jednocześnie, według polskiego badania EU Kids Online z 2018 roku, aż osiemdziesiąt dwa procent osób w wieku od dziewięciu do siedemnastu lat codziennie łączy się z internetem za pośrednictwem telefonu. E-lekcje nie zawsze były jednak dopasowane do interfejsów niektórych smartfonów. Do tego dochodzi kwestia cyfrowych kompetencji. Zaledwie jedna trzecia nastolatków w wieku od jedenastu do siedemnastu lat wysoko ocenia swoje umiejętności weryfikacji napotkanych w sieci wiadomości. W raporcie *Polska szkoła w dobie cyfryzacji* z 2017 roku, mniej więcej połowa ankietowanych uczniów zadeklarowała, że w ich szkole nie są stosowane żadne cyfrowe technologie. Nie powinno więc nikogo zaskoczyć, że smartfon w rękach młodzieży jest narzędziem służącym raczej rozrywce, rzadko kiedy skorelowanym z nauką. Raport EU Kids wskazuje z kolei, że prawie osiemdziesiąt procent uczniów nigdy nie skomunikowało się z nauczycielem przy użyciu smartfona, a blisko połowa badanych nigdy nie skorzystała z telefonu w szkole, by poćwiczyć lub utrwalić wiadomości.

Ekspertki zgadzają się, że kluczowe jest uświadomienie uczniom, że smartfon i internet, dobrze użyte, mogą być świetnymi narzędziami nauki. Ale jak z nich mądrze korzystać, skoro jesteśmy zalewani produkowanymi masowo *fake newsami*, a rozróżnienie prawdy od fikcji w internecie staje się coraz trudniejsze? W tym kontekście, jeszcze bardziej istotna od uświadomienia edukacyjnego potencjału nowych technologii wydaje się nauka krytycznego myślenia i weryfikacji internetowych źródeł.

*

Problem z wykorzystaniem internetu w nauce dotyczy jednak nie tylko uczniów, ale też samych nauczycieli. Średnia ich wieku wynosi w Polsce niemal czterdzieści pięć lat i rośnie z każdym rokiem. Większość nauczycieli nie otrzymała nigdy odpowiedniej edukacji informatycznej, a kursy doszkalające w tym zakresie wciąż są rzadkością. Ciężko więc spodziewać się, że osoby nierzadko wykluczone cyfrowo będą rozwijać cyfrowe kompetencje najmłodszych. Koło się zamyka.

Zmiany systemowe zachodzą, ale wciąż bardzo powoli. Wraz z ostatnią reformą liczba godzin informatyki w szkołach została zwiększona w zakresie podstawowym z trzydziestu do czterdziestu godzin. Oznacza to, że informatyka nie znika z planu po pierwszej klasie liceum, jak miało to miejsce wcześniej, ale zostaje również przez drugą i trzecią (dla klas z rozszerzeniem także przez czwartą). To jedenaście lat nieprzerwanej nauki tego przedmiotu. Widzę w tym szansę na potencjalne zmiany. Postanawiam więc dowiedzieć się, jak wygląda to w praktyce.

Na stronie PodstawaProgramowa.pl znajduję program nauczania informatyki dla klas IV-VIII, czyli na etapie, na którym zdaniem specjalistów powinno się wdrożyć naukę „praktycznych umiejętności”. Program opiera się na pięciu głównych założeniach, wśród których znajduje się „rozumienie, analizowanie i rozwiązywanie problemów”, „wykonywanie obliczeń i programów” czy „przestrzeganie prawa i zasad bezpieczeństwa”. Zglądam więc do podręcznika do informatyki dla klasy czwartej szkoły podstawowej *Lubię to Nowej Ery*. Z pięciu działów książki tylko jeden dotyczy bezpieczeństwa i wyszukiwania (reszta omawia budowę komputera, obsługę Painta, Worda czy Scratcha). Znajduję wymagania na ocenę bardzo dobrą w temacie poetycko określonym „żeglowaniem po oceanie informacji”: „Uczeń omawia kolejne wydarzenia z historii internetu, dba o zabezpieczenie swojego komputera przed zagrożeniami internetowymi, wyszukuje informacje w internecie, korzystając z zaawansowanych funkcji wyszukiwarek”.

Tyle. Ani słowa o nauce w oparciu o internet, weryfikacji *fake newsów* czy wykorzystywaniu stron edukacyjnych w sieci. Tego polska szkoła nie uczy.

*

Gdy pytam o najgorszą cechę e-lekcji, zdania uczniów okazują się podobne. – Trudno się skupić, występują problemy techniczne – opowiada Natalia, pierwszoklasistka z dużego, cieszącego się renomą liceum. – Zdarza się, że nauczyciele w ogóle nie robią przerw. Jest też mniejsza interakcja między nauczycielem a uczniem. Najbardziej wkurzający jest jednak brak stałego planu lekcji, czyli niepewność co do pory odbywania się zajęć, i ciągle zmienianie platform. Nauczyciele chyba myślą, że jest nam teraz łatwiej, jak mamy ten e-learning, i przez to zadają nam strasznie dużo pracy domowej. Dostaliśmy na przykład jednego dnia trzydzieści zadań z polskiego i wypracowanie z niemieckiego do napisania do końca dnia. Przecież nikt tego nie wykona sam i wszyscy będą ściągać, spisywać z tłumacza i Odrabiamy.pl [strony z odrobionymi pracami domowymi – przyp. AA]. Nie dość, że rośnie stres, to jeszcze niczego się w ten sposób nie uczymy.

– A podczas lekcji stacjonarnych w klasie nie było takiego problemu?

– Nie, bo w klasie nikt nie zadawał nam aż tylu zadań. A teraz jedna osoba z klasy ma konto na Odrabiamy.pl i stamtąd przesyła odpowiedzi z E-podręczników. Albo na bieżąco wymyślamy odpowiedzi na lekcji.

To kolejny problem polskiej szkoły, w ramach którego pokutuje wykluczenie cyfrowe nauczycieli – zadawanie pracy domowej opartej jedynie na suchej, encyklopedycznej wiedzy, którą można błyskawicznie rozwiązać przy pomocy internetu, bez konieczności myślenia. E-learning mógł pomóc w weryfikacji tego problemu, ale jak pokazuje przykład Natalii, w niektórych przypadkach tendencja ta się tylko pogłębiła.

Ala, uczennica drugiej klasy liceum o profilu matematyczno-fizycznym: – Większość lekcji, które traktowaliśmy jak zapychacze planu, odbywa się teraz w formie przesłania maila z materiałem do nauki. Jeżeli chodzi o rozszerzenia, zazwyczaj mamy spotkania na Zoomie albo Teamsach. Dzięki temu wreszcie możemy się skupić na tym, co każdy uważa za najważniejsze dla siebie, czyli na najbardziej priorytetowych przedmiotach.

Przed reformą po pierwszej klasie liceum ogólnokształcącego z planu zniknęły niektóre przedmioty niezwiązane z profilem klasy. Obecnie, w drugiej klasie, na przykład o profilu humanistycznym, przedmioty przyrodnicze na poziomie podstawowym (poza fizyką) zostały podwojone. Nie znikają też w klasie trzeciej. Istnieją oczywiście głosy broniące tego rozwiązania, argumentujące że licea „ogólnokształcące” powinny kształcić „ogólnie”, a zatem nie zamykać się na profil klasy, ale w obliczu przeładowania podstaw programowych w polskich szkołach trudno o zwolenników tej perspektywy wśród uczniów.

Jasiek ma czternaście lat. W siódmej i ósmej klasie został laureatem konkursu kuratorskiego z historii. Specjalizuje się w dziejach starożytnego Rzymu. Fascynuje go temat wychowania, ponieważ to w szczególnym podejściu mieszkańców Wiecznego Miasta do dzieci znajduje jedną z przyczyn sukcesów Imperium. Jasiek wygrywa konkursy kuratorskie, może wybrać wymarzone liceum poza skalą punktów. Nie zastanawia się długo – wybór pada na szkołę ze świetnymi wynikami z historii. Ale w drugiej klasie Jaśka czeka szok. Jego szkoła ma do rozdysponowania pięć godzin lekcyjnych na realizację programu rozszerzonego wybranych przedmiotów, podczas gdy lekcje przyrodnicze (biologia, geografia, fizyka i chemia) będą zajmować siedem. Jasiek chętnie kontynuowałby pracę nad typami metod wychowawczych w Rzymie, ale będzie musiał skupić się na wykresach energii kinetycznej, diagramach z budową pantofelka i schematach dysocjacji jonowej kwasów.

Takich Jaśków są tysiące. Polska szkoła dba jednak o to, by regularnie tę liczbę zmniejszać.

Zwolennicy reformy bronią tych zmian, tłumacząc często, że tak jest przecież wszędzie na świecie. Ten argument jest jednak nietrafiony. W krajach, które od lat cieszą się wysokimi wynikami edukacyjnymi, systemy nauczania stanowią antytezę polskiej oświaty. W Danii, oprócz gigantycznego nacisku na pracę w grupach i wyzwianie kreatywności uczniów, funkcjonuje codziennie tak zwana pogłębiona nauka. To czas do samodzielnego rozdysponowania przez ucznia na naukę przedmiotu, któremu danego dnia chce poświęcić szczególną uwagę. Nawet założenie planu lekcji jest dostosowane do wytycznych efektywności i skupienia się na najważniejszych zagadnieniach – rozkład zajęć zmienia się co trzy tygodnie w zależności od tego, jakie przedmioty idą najslabiej lub budzą największe zainteresowanie uczniów. Również Finlandia, często przodująca w podobnych rankingach, znalazła swój sposób na położenie nacisku na najważniejsze przedmioty. Istnieje ogólna podstawa programowa, ale skupia się ona na wyznaczaniu dla ucznia celów. Najwięcej w procesie nauki zależy od nauczyciela, zawodu obdarzonego w Finlandii wielkim zaufaniem i szacunkiem społecznym – dzięki temu każdy pracownik szkoły może odkryć indywidualne metody, które wypracuje razem z klasą.

Ala ma rację. W Polsce nie ma miejsca na skupienie się na tym, co naprawdę interesuje ucznia. E-learning okazał się doraźną receptą na ten problem – nie rozwiązał go całkowicie, ale pozwolił każdemu nieco bardziej indywidualnie dopasować do siebie system pracy.

*

– Mamy wreszcie dowolność w rozplanowaniu sobie materiału. Jeśli ktoś ma nawyk odrabiania prac domowych późnym wieczorem, wreszcie nie ma z tym problemu – mówi Asia z pierwszej klasy.

– Mogę regularnie jeść, mniej się stresuję, nie jestem cały dzień w biegu – stwierdza Edyta z klasy o profilu biologiczno-chemicznym. – Gdy chodziłam do szkoły nie było różowo. Teraz odpowiada mi ten samodzielny tryb nauki, uczenie się tego, co mnie naprawdę interesuje. Wreszcie mam czas na swoje pasje i odpoczynek.

W podobnym duchu wypowiada się też Ala: – Jestem bardzo zadowolona. Uważam, że e-lekcje są znacznie wygodniejsze niż chodzenie codziennie do szkoły. Nie tracę czasu na dojazdy, które zwykle zajmowały mi łącznie około dwóch godzin. Czuję się bardziej wypoczęta, nie muszę wstawać wcześniej i nie mam interakcji z ludźmi, z którymi mieć jej nie chcę.

W pozytywnych opiniach o e-lekcjach powtarza się ta sama obserwacja – przekonanie o szkodliwości sztywnego i przeładowanego planu lekcji. Bywa że rozkład zajęć, zmieniający się najwyżej raz na semestr, godzi w naturalny rytm dobowy (niektóre szkoły zaczynają lekcje o 7.30). Bywa też, że osoby dojeżdżające do szkoły z sąsiednich miejscowości czy obrzeży miasta muszą wstawać o 5.00 rano. Wielu uczniów zwraca uwagę na to, że ścisły plan ogranicza ich samodzielność, kreatywne myślenie, a także efektywność nauki. Uczniowie klas drugich i trzecich szkół średnich są w większości dorośli. Mogą jeździć samochodem, pracować, mieszkać samemu. Ale nie mogą w jakimkolwiek stopniu zdecydować, o której zrobią matematykę, o której polski, a ich przerwa obiadowa musi nieraz zmieścić się w piętnastu minutach.

Do tego dochodzi kwestia dobowego rytmu nastolatka, który nie jest przystosowany do codziennego, rannego wstawania. – W okresie nastoletnim zmienia się rytm wydzielania melatoniny, hormonu odpowiadającego za dobry sen i regenerację mózgu – tłumaczy mi dr Kinga Kaleta, psycholożka i psychoterapeutka. – U nastolatka jej produkcja przesunięta jest o około trzy godziny w stosunku do dzieci i dorosłych. Około szóstej rano dorosły człowiek powinien być wyspany, będzie się wybudzał. Nastolatek za to najwięcej melatoniny wytwarza między trzecią a szóstą, więc pobudka o szóstej jest dla niego porównywalna z sytuacją, w której dorosły człowiek musiałby pracować o czwartej nad ranem. Człowiek jest wyczerpany, jego funkcje poznawcze,

takie jak pamięć, koncentracja czy myślenie gorzej działają. Standardowy system szkolny w Polsce jest faktycznie niedopasowany do rytmu dobowego tego, kogo ma kształcić.

Wśród zalet e-learningu, uczniowie zwracają też uwagę na delikatne odejście od przeładowanej podstawy programowej. Pod petycją o jej odchudzenie, zorganizowaną w 2018 roku przez akcję „Nie dla chaosu w szkole”, podpisało się ponad dwadzieścia tysięcy osób. W sprawie zbyt obszernego materiału do zrealizowania interweniował również były Rzecznik Praw Dziecka, Marek Michalak, publikując w 2018 roku raport o zreformowanej szkole podstawowej. Według dyrektorów szkół, którzy wypowiedzieli się w ramach sondażu, aż osiemdziesiąt procent uczniów zgłasza problem z nadmiarem nauki. Jednocześnie, prawie połowa badanych nauczycieli uważa program za zbyt obszerny, a ponad połowa rodziców twierdzi, że dzieciom zadaje się za dużo pracy domowej. Pierwsi siódmoklasiści w zreformowanych podstawówkach tylko w weekendy musieli poświęcić na naukę około trzech i pół godziny dziennie. Nic dziwnego, że według raportu prawie połowa uczniów szkołę kojarzy głównie ze zmęczeniem. E-learning przypadkowo rozwiązał więc kilka problemów, które trapiły polskich uczniów od lat. I przy okazji pokazał też, jak niewiele trzeba, by czuli się bardziej szczęśliwi i wypoczęci.

*

Tematem, który elektryzował moich rozmówców najbardziej, okazały się jednak matury. Pytam o nie w połowie maja Weronikę, uczennicę klasy humanistycznej, niedługo przed jej podejściem do egzaminu dojrzałości. – Przesunięte matury to naprawdę coś, czego nie życzę żadnemu maturzyście – stwierdza.

– A nie czujesz się lepiej przygotowana dzięki dodatkowemu czasowi?

– Chyba nie. Wcześniej mogłam chodzić do biblioteki, czytelnicy czy kawiarni, a teraz? Przecież nikt nie uczy się cały czas w domu, to jest strasznie niezdrowe. Trudno jest się też zmotywować. Najgorsza była jednak ta niepewność, gdy próbowano nam wmówić, że termin matur nie zostanie zmieniony. Stresowałam się, że pójdę do szkoły i zarażę całą moją rodzinę. Wiele osób zastanawiało się wręcz nad rezygnacją z przystąpienia do egzaminu. Potem ogłoszono, że termin zostanie odroczone, ale nie wiadomo na kiedy. Zapanowało więc totalne rozluźnienie, wszyscy przestali się uczyć. Teraz wskazano kolejną datę, a my jesteśmy przerażeni brakiem przygotowania szkół i wynikającym z tego ryzykiem.

Blanka mieszka w mieście średniej wielkości i uczy się w technikum. O sytuacji w trakcie epidemii mówi tak: – Na dobrą sprawę zostaliśmy zostawieni sami sobie. Jeśli ktoś, tak jak ja, przystępuje do matury, to w gruncie rzeczy cały materiał musi opracować samodzielnie. Do tego dochodzi zamieszanie z terminami: z jednej strony mamy więcej czasu na naukę, ale z drugiej mamy obawy o to, w jaki sposób te matury będą przeprowadzone. To dużo pytań i niepewności. A co jeśli będziemy siedzieć przez prawie dwie godziny w sali z osobą zakażoną? Wielu z nas mieszka ze starszymi osobami, ma w rodzinie krewnych z grupy podwyższonego ryzyka – dla nas to trudna sytuacja, która może wpłynąć na wyniki. Nie każdy umie sobie radzić w takim stresie.

Obawy Weroniki i Blanki podzielało wielu maturzystów. Większość jednak zgodnie twierdziła, że może sobie debatować na boku, ale przecież i tak niczego nie zmieni. Bo nikt ich nie słucha. Wyjątkiem był Tymon Radzik, uczeń warszawskiego liceum, który złożył w sądzie wniosek o zobowiązanie MEN do przesunięcia matur. Internetową petycję w sprawie jasnego stanowiska rządu podpisało zaś ponad czterdzieści tysięcy osób. Ostatecznie termin przesunięto, choć nieznacznie, na 8 czerwca. Maturzyści teoretycznie nie mieli już po co protestować, a pytania i wątpliwości, jakie rodziła nowa data, było rządowi łatwiej zignorować.

O tym, jak wyglądała matura w trakcie pandemii, opowiada mi Weronika: – Na egzaminie musiałam mieć maseczkę, komisja losowała kartkę z przydzielonym miejscem. Jeśli ktoś by się źle poczuł, to była przygotowana izolatka, ale jeśli nie miałeś poważnej podstawy, aby się do niej udać, twój egzamin mógł być unieważniony. Pytali nas wszystkich, czy na pewno się dobrze czujemy. Podobno korzystając z kart i kalkulatora trzeba było mieć na sobie rękawiczki, ale to niewykonalne. Pisałam z jedną ręką w rękawiczce, drugą niechronioną. Tymczasem z kartami wzorów matematycznych jest tak, że ta sama karta jest raz na maturze podstawowej, a drugi raz na rozszerzeniu w poniedziałek. Trzymamy kciuki, żeby się nie zakazili.

*

Gdyby ten tekst pojawił się na sprawdzianie, pytania mogłyby wyglądać tak:

Na podstawie lektury wymień 5 wad i 5 zalet e-learningu. Unikaj cytatów. Informacje nie mogą się powtarzać.

Albo: Antek odbywa 28 e-lekcji tygodniowo, a Paulina 19.

a) oblicz średnią harmoniczną i geometryczną e-lekcji Antka i Pauliny,

b) oblicz, jak zmienią się średnie, gdy liczba e-lekcji Pauliny zmniejszy się o $-\log_{\sqrt{\frac{1}{2}}} 16$.

Testem da się zepsuć nawet artykuł.

Tymczasem sprawdziany są zmurą polskiej szkoły. Założenie jest proste: uczniowie realizują dany dział z podręcznika, a następnie piszą sprawdzian, który ma zweryfikować ich wiedzę. W pierwszej klasie liceum w nowej podstawie programowej z matematyki do zrealizowania jest osiem działów, co w teorii oznacza osiem testów tylko z tego przedmiotu, mniej więcej jeden sprawdzian w miesiącu odliczając ferie i święta. Ponadto, nauczyciel ma możliwość przeprowadzania diagnozy [sprawdzenia wiedzy ucznia z poprzednich etapów edukacji – przyp. AA], kartkówki i odpowiedzi ustnych. Może to robić według własnego uznania, bo o ile statuty szkół zwykle kontrolują tygodniową liczbę całogodzinnych klasówek, to nie zawsze określają konkretne zasady innych form sprawdzania wiedzy. W wielu placówkach, szczególnie tych z pierwszych miejsc rankingów, odpytywanie i kartkówki z bieżącego materiału są codziennością.

Podczas e-learningu ten model pracy uległ nieuniknionym zmianom. Forma bieżącego sprawdzania wiedzy pozostaje w decyzji nauczyciela, ale oczywistym jest, że kontrola samodzielności odpowiedzi jest w obecnej sytuacji bardzo trudna. Najlepiej pokazała to tegoroczna edycja konkursu matematycznego Kangur, z powodu pandemii przeprowadzana po raz pierwszy zdalnie. W tym roku ponad trzy tysiące ośmiolatków napisało konkurs bezbłędnie, podczas gdy rok temu takie wyniki osiągnęło zaledwie ośmiu uczniów. Jak skomentował dyrektor szkoły podstawowej w Krakowie: „W tym roku w wielu przypadkach dyplomy za konkursy i świadectwa z paskiem należą się nie uczniom, tylko rodzicom”.

Zosia, uczennica renomowanego liceum, tłumaczy, że wszystko zależy jednak od nauczyciela. – Z matematyki dostajemy zadania i mamy czas na ich załączenie do dwudziestu pięciu minut. Pani od polskiego dyktuje nam za to pytania na bieżąco podczas spotkania na Zoomie. Ze ściąganiem nie jest wcale tak prosto – mamy włączyć mikrofony i jeśli pani usłyszy szelest kartki, cała klasa ma jedyneki.

Jak zawsze jednak, na każdą historię znajdzie się historia odwrotna. – U nas wszystkie zaliczenia są robione na bieżąco przez Teamsa – opowiada Iga. – Można przy tym bez problemu ściągać, wspierać się nawzajem albo korzystać z innych źródeł. Niektórzy mają rodziców nauczycieli, którzy często im pomagają. Uważam że takie sprawdziany nie są teraz obiektywną metodą

sprawdzania wiedzy. Nauczyciele mówią tylko, że jeśli rozpoznają inspirację z innej pracy, to postawią od razu jedynekę.

– Moje oceny wyrzuciło teraz na najwyższy poziom, ale wiedza jest na poziomie zerowym – komentuje Natalia. – Sprawdziany robimy razem z klasą, rozwiązujemy wszystko wspólnie na Zoomie. Nie ma takiego sprawdzianu, którego nie zrobiliśmy pomagając sobie.

Sprawdzanie wiedzy, niemal kluczowy element polskiej szkoły, nie zdało egzaminu przejścia na e-learning. Zastanawiam się tylko, czy to aby na pewno źle.

Omów wpływ obecnych form sprawdzania wiedzy na psychikę i wyniki edukacyjne ucznia, mając do dyspozycji poniższe informacje:

- według danych policji, polscy nastolatki podjęli w 2019 roku 905 prób samobójczych, a liczba ta wzrasta z roku na rok,

- w 2017 roku aż jedna piąta uczniów stwierdziła, że odczuwa w szkole strach,

- w wyróżniającej się edukacyjnie Finlandii istnieje tylko jeden egzamin państwowy, a ocenianie w szkołach przez kilka pierwszych lat jest jedynie opisowe.

*

Czy było zatem coś, co w tej kryzysowej sytuacji rząd mógł zrobić lepiej w kontekście e-learningu? Zosia twierdzi, że jak najbardziej: – Wszystko spadło na samorządy i nauczycieli. Zalecenia rządu były niedoprecyzowane. Powinny iść konkretne ustalenia z góry: na przykład, ile godzin lekcyjnych mają realizować szkoły. Tymczasem u każdego wyglądało to inaczej. To niedopuszczalne.

– Powinno się zaopatrzyć nauczycieli w materiały, choćby tablety graficzne, które mogłyby znacząco ułatwić prowadzenie zajęć. Mógł też powstać jeden ogólny program dla uczniów i nauczycieli, aby nie trzeba było skakać pomiędzy platformami – zauważa Marcin.

Przeglądam wyniki badania *Edukacja zdalna w czasach izolacji* opublikowane 8 czerwca. Jego autorzy zadali pytania o e-learning 646 dyrektorom szkół w Polsce. „W wypowiedziach dyrektorów szkół przejawiało się ich poczucie osamotnienia w tej sytuacji. Twierdzili najczęściej: «Musieliśmy do wszystkiego dochodzić sami»”. Ten sam zarzut pojawia się również wśród uczniów. Według badania wsparcie MEN uzyskała zaledwie jedna czwarta szkół. Prawie jedna piąta zadeklarowała zaś, że nie otrzymała jakiegokolwiek wsparcia od jakiegokolwiek instytucji. Pomoc zazwyczaj polegała na udzieleniu dostępu do sprzętu komputerowego lub materiałów w sieci.

Oprogramowanie do nauki otrzymał jednak zaledwie jeden na stu dyrektorów. Wśród działań które mogłyby pomóc zwiększeniu jakości i efektywności edukacji zdalnej, dyrektorzy wymienili poza wsparciem sprzętowym między innymi „wsparcie metodyczne nauczycieli dotyczące prowadzenia edukacji zdalnej”, „bezpłatne szkolenia nauczycieli w zakresie stosowania różnych narzędzi do zdalnego nauczania” czy „przygotowanie dokładniejszych wytycznych dotyczących oceniania uczniów”. Tymczasem, otrzymanie wsparcia metodycznego i bezpłatnych szkoleń zgłosiła jedynie około jedna czwarta dyrektorów.

Zdaniem wielu edukacja zdalna była z góry skazana na porażkę. W kraju, w którym według zaledwie jednej trzeciej nauczycieli szkoła uczy niestandardowego myślenia, a niemal połowa uczniów nigdy nie skorzystała z cyfrowych metod nauczania, to nie miało prawa się udać. Ale choć mankamentów *e-learningu* jest mnóstwo, okazało się, że ma też sporo zalet – przede wszystkim odsłonił wiele pomijanych, systemowych słabości polskiej edukacji. Pozwolił uczniom na choć niewielkie samodzielne rozplanowywanie czasu. Dał im możliwość położenia nacisku na to, co jest dla nich najważniejsze. Odciążył od konieczności porannego wstawania i pracowania w niesprzyjającej atmosferze. Pokazał im nowe, cyfrowe możliwości edukacji. I zmusił do wyzwolenia kreatywności przy szukaniu rozwiązań. Autorzy opublikowanego we wrześniu

dogłębnego raportu edukacyjnego „Między pandemią COVID-19 a edukacją przyszłości” jasno stwierdzają: „pandemia uwypukliła mankamenty i słabości systemu edukacji. [...] Tylko wyciągając wnioski z kryzysu, możemy przebudować szeroko rozumiany system edukacji tak, by był zdolny do elastycznego reagowania na przyszłe nadzwyczajne sytuacje i nieznane okoliczności, których z pewnością należy się spodziewać. I tylko w ten tylko sposób możliwe staje się, choćby częściowe, wyeliminowanie mankamentów systemu i konstruktywne wykorzystanie dobrych praktyk, które pojawiły się w czasie pandemii.”

Wraz z początkiem nowego roku szkolnego powróciło jednak wstawanie przed szóstą i zaburzone proporcje w nauce wybranych przedmiotów. – Lekcje powinny zaczynać się później – mówi dr Kaleta, zapytana o niezbędne zmiany w polskim szkolnictwie. – System oceniania, tak stresujący, również powinien się zmienić. Powinniśmy akcentować pozytywy, a nie drobne błędy i niedociągnięcia. Dobrym rozwiązaniem może być ocena opisowa, wskazująca na kompetencje, i bardziej elastyczny, demokratyczny sposób organizowania programu.

Ale to nie koniec. Uważam, że i my, uczniowie, powinniśmy mieć prawo głosu w kwestiach, które nas dotyczą. Wydawało się, że zeszłoroczny strajk nauczycieli mógł być początkiem rozsądnej dyskusji o edukacji, z której uczniowie nie byliby wykluczeni. Grupa nauczycieli i pracowników oświaty uruchomiła wtedy inicjatywę *Narada Obywatelska o Edukacji*, mającą na celu „wspólnie zastanowić się, jakiej edukacji i jakiej szkoły oczekują różne środowiska, a nie tylko nauczyciele i nauczycielki”. Zwieńczeniem stu pięćdziesięciu spotkań osób związanych z polską szkołą było opublikowanie długiego, rzetelnego raportu, pełnego wniosków, postulatów i propozycji zmian. Raport przeszedł jednak bez echa.

Nie była to też jedyna analiza, która uwzględniałaby opinie uczniów na tematy związane z edukacją. W 2017 roku powstał na przykład wspomniany już raport Marka Michalaka o sytuacji uczniów zreformowanych szkół. Nie brakuje więc danych ani zaangażowanych osób, które – jak w przypadku Narad Obywatelskich – poświęciły swój czas i energię, by wspólnie walczyć o przyszłość edukacji. Nie brakuje też wizji czy postulatów, które stanowiłyby złoty środek pomiędzy oczekiwaniami uczniów i nauczycieli. Brak jedynie chęci ze strony ministerstwa i rządu, by z tymi rekomendacjami wejść w realny dialog.

Pandemia koronawirusa mogłaby się okazać dobrym momentem na zmiany. Czy gdy ryzyko zarażenia zniknie, już na stałe wrócimy do dotychczasowego trybu edukacji, zapominając o nowych technologiach, pracy w komforcie i możliwości modyfikowania skostniałych metod, czy też wyciągniemy z e-nauczania lekcję? Uczniom wystarczyłoby, gdyby poczuli, że mają wpływ na to, co dzieje się z ich edukacją. Inaczej polska szkoła, choć wytrzymała strajk nauczycieli i pewnie wytrzyma pandemię, kolejnego egzaminu może już nie zdać.

Imiona rozmówców zostały zmienione.